

BODE MILLER

& Jack McEnany

AUTOBIOGRAFIA WARIATA



SON

WYDAWNICTWO
3100 000 000

BODE MILLER

AUTOBIOGRAFIA WARIATA



BODE MILLER

& Jack McEnany

AUTOBIOGRAFIA WARIATA

tłumaczenie
PIOTR MATELA

Kraków 2014

Tytuł oryginału:

BODE. GO FAST, BE GOOD, HAVE FUN

Copyright © 2005 by Bode Miller and Jack McEnany

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo SQN, 2014

Copyright © for the Polish translation by Piotr Matela, 2014

This translation published by arrangement with Villard Books,
an imprint of The Random House Publishing Group,
a division of Random House, Inc.

Redakcja – Jacek Ring, Kamil Misiek / Editor.net.pl

Korekta – Kamil Misiek / Editor.net.pl

Opracowanie typograficzne i skład – Joanna Pelc

Okładka – Paweł Szczepanik / BookOne.pl

Front and back cover photographs © Getty Images Sport / Getty Images /
Flash Press Media

All photos inside the book provided courtesy of Bode Miller.

All rights reserved. Wszelkie prawa zastrzeżone.

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani
w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie,
fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana
w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

Wydanie I, Kraków 2014

ISBN 978-83-7924-135-4



www.wydawnictwosqn.pl



DYSKUTUJ O KSIĄŻCE



/WydawnictwoSQN



/SQNPublishing



/WydawnictwoSQN



NASZA KSIĘGARNIA www.labotiga.pl

Szukaj naszych książek
również w formie
elektronicznej



*Jo i Woody'emu, którzy dali mi wolność
i szczęście, bym o resztę zatroszczył się sam.*

Bode

Spis treści

Prolog	9
1. Tamarack	19
2. My, dzikusy	47
3. Koniec początku	89
4. Czarna owca	105
5. Szybko	131
6. Szybkość	169
7. Zabawa	207
8. Dobroć	213
9. Tworzywo dla narciarza	227
10. Moje słuszne poglądy	235
Podziękowania	240
O autorach	240



Na igrzyskach olimpijskich najważniejsze nie jest zwycięstwo, lecz sam udział. Podobnie jak w życiu nie chodzi o to, by osiągnąć sukces, lecz by do niego dążyć, nie o to, by zwyciężyć, lecz by dzielnie walczyć.

To oczywiście credo olimpijskie. Myślę, że ostatnie zdanie odnosi się tylko do igrzysk, bo w życiu za żadne skarby nie wolno dać się zwyciężyć, choćby przeciwnik był najuczciwszy. Co do tego chyba wszyscy się zgadzamy. Reszta credo brzmi bardzo szlachetnie, chociaż zastanawiam się, jak to jest, gdy przez całe życie dajesz z siebie wszystko, a nigdy nie wygrywasz. Pewnie tylko zawodnicy Chicago Cubs i zwolennicy amerykańskich Zielonych mogą to znieść.

Podczas uroczystego otwarcia igrzysk olimpijskich w Salt Lake City w 2002 roku nie myślałem specjalnie o tym credo. Nie nauczyłem się go, podobnie jak w szkole nigdy nie umiałem przysięgi na wierność krajowi. Tekst dobrze oddaje ducha rywalizacji – w życiu, na igrzyskach czy gdzie indziej – ale jeżeli ktoś ma opory przed wygrywaniem, daleko nie zajdzie. Byłem w Salt Lake City dla frajdy i dla zwycięstw. Nie dla medali, ale dla wspaniałych chwil. Medal jest fajnym dodatkiem, ale niczym więcej. Z drugiej strony, nawet jeśli przegram, wciąż się dobrze bawię. Inaczej moje życie byłoby katorgą.

Ze mną było tak. Prosto z liceum trafiłem do reprezentacji. Nieźle jak na pierwsze dorosłe zajęcie. Gdy moi rówieśnicy sprzedawali

ciasta, ja podróżowałem po całym świecie. Nastawiłem się na to już jako dzieciak, gdy oni marzyli o zostaniu kosmonautami. Nie miałem jednak żadnego wielkiego planu. Nie podliczałem punktów do rankingu Międzynarodowej Federacji Narciarskiej ani nie stosowałem zakłęg rycerzy Jedi. Po prostu cieszę się z tego, co osiągnąłem. Z tego, że mogę dawać z siebie wszystko i wygrywać.

Media, zwłaszcza zajmujące się narciarstwem, są mi raczej przychylne. Ale nie zawsze. Czasem nazywają mnie wychodkiem. Nawet często – wystarczy sprawdzić w Google. Dokładnie jak często, nie chcę wiedzieć. Jeśli mogę, stronię od przepytywaczy. Nie z powodu niechęci, bo wielu z nich lubię, ale wywiad to dodatkowy wysiłek, którego zawsze unikam. Poza tym gazety mnie przynębiają, telewizja oślepia, a w radiu jest pełno muzycznej sieczki i bezsensownej gadaniny. W domu mam monitor do oglądania płyt DVD, a słucham radia satelitarnego, które gra tylko to, co lubię. Nie znajdziecie u mnie przekłętej kablówki ani nawet szerokopasmowego Internetu. A więc mało techniki i mało informacji – specjalnie o to dbamy. Inaczej bym zwariował.

W hotelu, jeśli to możliwe, oglądam C-SPAN. Ale gdy tylko włączę BOOK TV, jakiś staruszek rozprawia o wielkich dowódach i o tym, że wojna jest straszna, ale piękna. Zastanawiam się wtedy, czy programom historycznym można ufać bardziej niż dziennikom informacyjnym. Pewnie nie.

Nie zrozumcie mnie źle. Wiem, że dziennikarstwo to ciężki kawałek chleba. Nie można się wyspać, oj nie. Rano wstaję o wpół do siódmej (choćby nie wiem, co działa się w nocy) i gdy parzę kawę, za oknem zwykle coś się już rusza. Odgarniam wtedy szron z szyby i co widzę? Wśród porannej szarugi jakiś żalosny palant przytupuje z zimna, ściskając w ręku notatnik. Czeka na mnie, tylko nie wiem po co. Czy oni wiedzą, o co im chodzi? Oczywiście o jakiś temat. Jak mówią, o coś, czego nikt jeszcze nie wie, o news. Ale wszystko, co mogę im powiedzieć, mówiłem już tysiące razy. Lubię nasze fachowe dyskusje po zawodach – o stoku, o sprzęcie,

o warunkach atmosferycznych. Szkoda, że niewiele z tego trafia do czytelników.

Popkultura, a szczególnie sposób pokazywania sportu, coraz bardziej przypomina film *Uciekinier*. Więcej mówi się o zawodnikach niż o samym sporcie. Reporterzy chcą wiedzieć, co robiłem w noc przed startem. Sama rywalizacja schodzi wtedy na dalszy plan. Na takich konferencjach czuję się jak w dzieciństwie, gdy uganiał się za mną śnieżny patrol. Znowu jacyś ludzie chcą mnie złapać, choć nie mają na to żadnych szans.

Przyciągam uwagę, ale z niewłaściwych powodów. Nie dręczy mnie trema i trudno mnie zdekoncentrować. Zdarza mi się upaść, jak każdemu, albo wypaść z trasy, a na zeszłorocznych mistrzostwach kraju przegapiłem swoją kolej, bo nie usłyszałem dzwonka. Media kochają takie historie. Wielkie zwycięstwa, wielkie katastrofy, wielkie wpadki. Moi trenerzy nazywali to „rewią Bodego”. Jednocześnie muszę przyznać, że gdy pojadę jak z nut, dziennikarze potrafią to docenić. Tylko jakoś nie mogą zrozumieć jednej prostej rzeczy – narciarstwo sprawia mi frajdę. Po fakcie nie użałam się, nie roztrząsam, nie rozpamiętuję. Jadę najlepiej, jak umiem, a potem, po piwie i krwistym steku, zasypiam jak dziecko.

To nie znaczy, że nie analizuję niepowodzeń. W 2001 roku zawałem zjazd w Vail. Godzinami rozważałem, co poszło nie tak. Zjeżdżało mi się wspinałem. Sunąłem coraz prędszej i czułem, że fortuna się do mnie uśmiecha. Może jednak okazałem się jej niegodny, albo za szybki. W swojej głupocie poczułem się zwycięzcą, ale za ostatnią bramką potknąłem się i wyłożyłem. Było po wszystkim. Fortuna wybrała kogoś innego. Co za miła niespodzianka.

Zawsze walczę o zwycięstwo, ale wtedy szczególnie mi na nim zależało. Psychicznie byłem gotów; zawiodły nogi. Na wygraną w zjeździe lub supergigancie musiałem poczekać do jesieni 2004 roku, gdy tryumfowałem w Lake Louise. Wymagało to ode mnie cierpliwości. Teraz upadam znacznie rzadziej. W tym samym roku, w austriackim Flachau, leżałem dwa razy z rzędu. W kolejnym

sezonie wygrałem dwie pierwsze konkurencje na zawodach w Beaver Creek, w stanie Kolorado, a dwóch następnych nie ukończyłem. W jednej chwili śmigam w dół, by raptem wszystko zepsuć. Życie samo w sobie jest wystarczająco szybkie, a co dopiero gdy się zjeżdża na dwóch śliskich deskach sto dwadzieścia kilometrów na godzinę.

Upadki mnie nie deprymują. Nie zamartwiam się wynikami. Jasne, że porażka, upadek czy inna wpadka nie jest powodem do radości. Dokładnie analizuję wszystkie błędy i staram się je eliminować. Ale to mi nie spędza snu z powiek. Nawet lubię w narciarstwie te chwile refleksji. No i nieładzką szybkość.

Gdybym wygrał tamte dwa wyścigi we Flachau, Puchar Świata w 2004 roku byłby mój. Nie ukrywam, że o tym myślałem. I to nie raz. Zresztą w tamtym sezonie jeszcze kilka szans zmarnowałem. Na czterdzieści konkurencji nie ukończyłem jedenastu, ale co z tego? Trzeba to przemyśleć, ale bez przesady. Nie rozpamiętuję porażek. To idiotyzm. Nie myślę o następnym starcie, dlaczego więc miałbym się przejmować poprzednim? Puchar Świata, jak każda pierwsza nagroda, coś znaczy, ale właściwie co? Nasza dyscyplina jest tak skomplikowana, że nie sposób powiedzieć, kto jest najlepszym alpejczykiem.

Mówię tylko za siebie – nie dbam o medale i nagrody. Ale nie można tego powiedzieć o władzach amerykańskiej reprezentacji. Dla nich medale są ważne, co rozumiały. Czasem zwycięzcę dzielą od przegranego setne części sekundy, ale nie ma sensu się o to spierać. Medale są fajnym, konkretnym, obiektywnym wyznacznikiem sukcesu. Pokazują siłę reprezentacji. Wprowadził je Napoleon, który zrozumiał, że można nagradzać nimi zamiast pieniędzmi. Tak jest do dzisiaj.

Rozmiary zwycięstwa są nieistotne. Nasze wyniki są mierzone z dokładnością, której człowiek nie może ogarnąć. Wygrana z przewagą jednej czy dwóch sekund zdumiewa i zachwyca, winduje nas w rankingu światowej federacji, ale w Pucharze Świata

daje te same sto punktów, co zwycięstwo o włos. Gdy wyprzedzam rywala o dwie setne sekundy, to może dlatego, że wyciągnąłem się w kierunku mety. A więc wygrałem, bo mam dłuższe ramiona? Tylko co to ma wspólnego z narciarstwem? W takich sytuacjach medale, a nawet fotokomórki, nie rozwiewają wątpliwości. Czasem różnica jest tak mikroskopijna, że wszyscy powinniśmy dostać złote krążki. Albo brązowe.

Nazajutrz po zakończeniu igrzysk w Salt Lake City udzieliłem wywiadu kanałowi MSNBC, co obejrzało może nawet kilkadziesiąt osób. Bezczelny dziennikarzyna rzekł do mnie tak: „Bode, zdobyłeś dla Ameryki dwa srebrne medale. Świetnie się spisałeś. Ale twoi koledzy... Wracają z pustymi rękami. Co się stało?”. Powtarzam z pamięci. Może wyraził się grzeczniej, ale wątpię. Poczuliłem się tak, jakby ktoś powiedział: „Bode, powódź przerwała tamę i zatopiła twoich sąsiadów. Ale ty uszedłeś z życiem. Czy tamci frajerzy nie umieli pływać?”. Wyjaśniłem mu, że przez sześć miesięcy w roku walczymy o Puchar Świata. To czterdzieści konkurencji. Na koniec mamy jeszcze mistrzostwa kraju, a więc cztery dodatkowe starty. Gdy na północnej półkuli trwa lato, my trenujemy w Nowej Zelandii i Chile, gdzie wtedy jest zima. Sezon trwa długo. Mamy więc lepsze i gorsze dni. Czasem kryzys wypadnie akurat podczas igrzysk. Takie jest życie.

W Salt Lake my, Amerykanie, mierzyliśmy w dwadzieścia medali. To może niewiele – pewnie nie chciano rozbudzać nadmiernych oczekiwań. Ale zdobyliśmy trzydzieści cztery, a więc średnio dwa dziennie. Dwanaście złotych, trzynaście srebrnych i jedenaście brązowych. Dziennikarze natychmiast odnotowali, że Niemcy zgromadzili o jeden więcej. A podobno najważniejszy jest udział.

Z drugiej strony w igrzyskach uczestniczyli sportowcy z siedemdziesięciu siedmiu państw, a miejsca na podium są tylko trzy. Przegranych zawsze będzie dużo więcej niż zwycięzców. Credo olimpijskie przemawia głównie do tych pierwszych. Oni chcą po prostu dać z siebie wszystko. Zastanówcie się tylko, co by było,

gdyby myśleli inaczej. Wyobraźcie sobie zamknięcie igrzysk i te tłumy wkurzonych, naburmuszonych, załamanych atletów, którzy najchętniej nie wracaliby do domu, bo zostaną wygwizdani. Kto by chciał to oglądać? No, chyba że doszłoby do jakiejś rozróby, czego nie można wykluczyć.

Tak zresztą było w Salt Lake City. Poszło o wyniki w łyżwiarstwie figurowym. Rosjanie zaczęli się tłumaczyć. Kanadyjczycy wpadli w furję, choć na co dzień są tak grzeczni, że jeśli potrąca jakiś mebel, to go przeproszają. Jak się później okazało, w sprawie maczali palce bukmacherzy, a pewna sędzina ze słabością do futer i gauloise'ów nie była całkiem nieprzekupna. Z kolei w łyżwiarstwie szybkim Koreańczycy tak przeżywali porażki, jakby chcieli kogoś zabić. Nawet nie chcę o tym myśleć. Po prostu się ich bałem.

Na domiar złego ostatniego dnia dwudziestu piwoszy wszczęło burdę w Bud World. A już prawie pokazaliśmy surowym władzom miasta, że umiemy spokojnie raczyć się piwem. Dzięki, chłopaki. Miasto już wcześniej miało do nas zastrzeżenia. Organizacja Planned Parenthood* rzuciła do wioski olimpijskiej dwieście pięćdziesiąt tysięcy prezerwatyw „dla sportowców”. Nie jestem świętoszkiem, ale to sto sześćdziesiąt sześć gumek na osobę na dwa tygodnie. Moja forma by ucierpiała. Tej imprezie właściwie od początku towarzyszyła aura skandalu. Podobno najwyższym oficjelom Międzynarodowego Komitetu Olimpijskiego wręczono pieniądze i prezenty, aby igrzyska zawitały do Salt Lake City. Jak było naprawdę? Kto to wie.

A co z przesłaniem olimpijskiego credo? Ja byłem mu wierny w tym samym stopniu co wszyscy, zresztą jak zawsze. Tak to właśnie widzę. Zabawa, wygrywanie i jeszcze raz zabawa. Do diabła z całą resztą. Kiedy nie wygrywam, mniej zarabiam i rzadziej mnie chwala. Ale i tak jest fajnie. Zabawa jest źródłem wszelkiej radości. Zapiszcie to sobie. To mój tekst. Wśród urzędników MKOl, sędziów i sponsorów są ludzie, którzy nie odróżniają narciarstwa

* Świadome rodzicielstwo.

alpejskiego od szkolnej zabawy w papier, kamień i nożyce. Ale to my, sportowcy, którzy poświęcamy wszystko dla jednego zjazdu, jednego występu na lodowej tafli, mamy nie zważać na wynik. I nie zważamy.

Mnie to przychodzi z łatwością. Nie obchodzą mnie ani pochwały, ani zniewagi. Puszczam je mimo uszu. Nie czytam tego, co o mnie piszą. Nie oglądam zdjęć. Tej książki też nie przeczytam.

Muszę jednak przyznać, że podczas igrzysk zaniepokoiły mnie telewizyjne rewelacje na temat mojej rodziny. Nie mogłem ich nie zauważyć, bo mieszkalem w hotelu, a moim jedynym kompanem był telewizor. Usłyszałem, że jestem prostym, nieokrzesanym góralem. Dzikusem, który nie pasuje do współczesnego świata. To nie jest miłe ani prawdziwe. Ale czy mam się gniewać na dziennikarzy? Pewnie gonił ich termin i musieli coś wymyślić.

A skoro już nazywają mnie wychodkiem, mogliby pokazać zalety tego urządzenia. Choćby to, że gdy z niego korzystamy, podchodzą do nas zwierzęta, które normalnie boją się ludzi, jak wiewiórki czy kuny wodne. Wyczuwają, że jesteśmy niedysponowani.

Gdy nadejdzie zima, można zabrać muszlę klozetową do domu i powiesić ją na haku przy drzwiach. Będzie jej ciepło i przyjemnie, a jednocześnie ozdobi ścianę. Jak wiadomo, w wychodku świetnie się czyta. Do wychodka wyrzucamy popiół z paleniska, jednak dopiero gdy wystygnie. Inaczej wybuchnie metan, czego lepiej unikać. Burza w szambie jest gorsza od bomby atomowej.

Moja rodzina nie jest zamożna, ale to nam nigdy nie przeszkadzało. Przeciwnie. Dzieciństwo wspominam jako istny raj. Nie wyszedłem z żadnego obozu dla uchodźców. Jeśli biegałem boso, to dlatego, że chciałem. Co więcej, nikt mi tego nie zabraniał. Bywało, że ganiałem w samych zimowych butach, a na głowę wciskałem ulubiony pokrowiec na toster. Do wychodka biegałem z gołym tyłkiem. W drodze powrotnej coś zawsze przykuwało moją uwagę. Mogło to być skupisko skoczogonków, jelenie łajno albo ślady niedźwiedzi pazurów na pniu drzewa. Cokolwiek. Lubiłem

robić dziury w krze i podglądać rwący nurt potoku. Dokazywałem więc goły na łonie natury, aż po półgodzinie matka wyglądała z domu i wołała: „Hej, może włożysz gacie?”. Jo pozwalała mi na wszystko. Nigdy nie odmroziłem sobie niczego ważnego. A przede wszystkim czułem się wolny i naprawdę byłem wolny.

W trakcie igrzysk w Salt Lake City do naszego domu w New Hampshire zadzwonił producent słynnego programu rozrywkowego *The Tonight Show*. Chciał pożyczyć album ze zdjęciami. Było to nazajutrz po tym, jak zdobyłem srebro w kombinacji, w której Amerykanie dotąd nigdy nie stali na podium. Akurat miałem tydzień przerwy przed slalomem specjalnym i gigantem, w których matka miała mnie osobiście dopingować. Rzeczowa jak zawsze, spytała producenta, po co mu nasze rodzinne zdjęcia. Odparł, że będę gościem Jaya Leno. Zapisała jego adres, pożegnała się i natychmiast zadzwoniła do mnie na komórkę.

– Wybierasz się do LA, Bode? – spytała z niedowierzaniem. Zapewniłem ją, że nie ma się czego obawiać. Trenerzy wyrazili zgodę, a wróć szybko, bo telewizja ma własny odrzutowiec.

– Tere-fere – zakpiła. – A kiedy przygotujesz się do slalomu i giganta?

Odparłem, że wszystko sobie zaplanowałem.

– Bode. – W jej głosie wyczułem rosnący niepokój. – Co jest dla ciebie ważniejsze: występ na igrzyskach czy w telewizji?

To była cała nasza rozmowa. Matka do niczego mnie nie namawia. To nie w jej stylu. A szklany ekran nie robi na niej żadnego wrażenia. Tak więc nazajutrz zasiadłem na kanapie studia telewizyjnego w towarzystwie Denzela Washingtona. Z gospodarzem programu, Jayem Leno, żartowałem o seksie i nartach. Nie mogłem w to uwierzyć. Choć jako dziecko miałem rzadki kontakt z telewizją, to znam przecież słynny *The Tonight Show*. Odkąd założyłem własny dom, widziałem kilka odcinków. Dziesięć lat wcześniej byłem nieopierzonym mikrusem. Nie śmiałem marzyć o olimpiadzie. Wydawała się zupełną mrzonką, prawie jak to,

że pewnego pięknego dnia urodzę dziecko. Teraz – upudrowany, skąpany w ostrym telewizyjnym świetle, z medalem wciśniętym w przednią kieszeń dżinsów – zrozumiałem, jak daleko zaszedłem.

O to właśnie zapytał mnie Jay. O rodzinny dom, o moje skromne początki i hipisowskie korzenie. Cóż, mieszkaliśmy w lesie. Ponad kilometr od drogi, bez prądu, bez bieżącej wody, za to z przeklętym wychodkiem! Jay wyliczał te szokujące fakty i był coraz bardziej oszołomiony. Następnie zaczął mi gratulować medalu, jakby dziwiąc się, że taki cudak mógł go zdobyć.

Zgadzałem się z Jayem, że moje niezwykle dzieciństwo miało znaczenie. Jednak nie trzeba mi współczuć. Przeciwnie – właśnie jemu wszystko zawdzięczam. Chciałbym, żeby to było jasne. Nawet zacząłem wszystko tłumaczyć, ale dałem za wygraną, żeby nie wyjść na marudę. Nie chciałem psuć nastroju, jak to kiedyś zrobił – w innym programie – autor komiksów, Harvey Pekar. Zresztą wyszło mu całkiem nieźle. Ale ja machnąłem ręką. W zasadzie zrobiłem to już dawno, bo nie bardzo umiem wyjaśniać. Zresztą, do diabła, co tu jest do wyjaśniania?

Kilka dni później zdobyłem srebro w gigancie. Jak widać, wypad do Los Angeles wcale mi nie zaszkodził. Wkrótce potem dałem wielką płamę w slalomie specjalnym. Zmarnowałem więc szansę na kolejny olimpijski krążek, bo to moja koronna konkurencja. Zabolalo, ale bez przesady. Nie lubię dramatyzowania. Raz wygrywam, raz wypadam z trasy. Nie zadręczam się tym. Tę nonszalanckę, albo stoicki spokój, przejąłem od matki, która z równą wyrozumiałością patrzyła, gdy jako malec biegałem nago po śniegu. W lesie potrzebne rzeczy trzeba sobie stworzyć, wyhodować albo znaleźć. Żyliśmy na łonie natury, zanim to stało się modne. Bez pieniędzy, ale nie bez środków do życia, bo wokół mieliśmy przyrodę z jej bogactwami. Dolina Easton była jeszcze zupełnie dziewicza, porośnięta starodrzewem, pełna śladów łosi i jeleni, które można było czasem spotkać. Nasze ogrody wisiały na zboczach,

a obok domu płynął górski potok. Mieliśmy słońce, czyste powietrze, góry. Czego więcej chcieć?

W prasie przedstawiano to nieco inaczej. Jako coś w rodzaju Dogpatch, tej komiksowej osady z epoki kamienia łupanego, w której rządziła despotyczna Mammy Yokum. Moja matka z pewnością taka nie jest. Nie przeczę, że mamy w sobie coś z typowych białych, ubogich Amerykanów. Wieczorami lubimy się spotykać w męskim gronie. Zdejmujemy koszule, słuchamy głośnego rapu i raczymy się puszkowanym piwem. Nawet teraz, kiedy piszę te słowa, koledzy zbierają się przed domem, żeby pojeździć na moich starych nartach po pobliskiej drodze 116. Ktoś wsiądzie na motocykl i pociągnie za sobą narciarza. Jeśli nieszczęśnik upadnie, będzie nieźle umorusany. Jednak cywilizacja zrobiła u nas pewne postępy. Kiedyś zamiast autostrady stanowej biegła tędy zwykła błotnista droga. Mama, jeszcze jako mała dziewczynka, sprzedawała wędrowcom lemoniadę. Zatrzymywała ich niemalże siłą. Jazda na nartach za motocyklem nie była jeszcze możliwa.

Moje rodzinne strony to Franconia w stanie New Hampshire. Również Tamarack i Turtle Ridge. Dziennikarze są różni, ale denerwują mnie dwa typy. Pierwsi kpią z nas, choć nigdy tu nie byli. Są prawie jak Jayson Blair, dziennikarz zwolniony z „New York Timesa” za wymyślanie historii. Drudzy zechcieli do nas przyjechać, ale niczego nie zrozumieli. To już beznadziejne przypadki. Nie mam zamiaru wydawać wojny mediom, ale czułem, że muszę powiedzieć, jak jest naprawdę. Dziennikarz, choćby najrzetelniejszy, przeważnie musi się zmieścić w tysiącu słów albo w dziewięćdziesięciu sekundach. To za mało, żeby wiernie opisać mnie czy kogokolwiek innego. Spróbuję to zrobić w tej książce.



Tamarack

10 listopada 1946

Wczoraj wygrałem na wyścigach konnych dwadzieścia dwa dolary (moja pierwsza wygrana od 1938 roku). W samą porę. Mieliśmy z Peg już tylko czternaście dolarów. Wygrałem też trzy dolary w karty. Nieźle jak na godzinę pracy.

Z dziennika mojego dziadka

Moi dziadkowie poznali się na narciarskim stoku, w czym z pozoru nie ma nic niezwykłego. A jednak ich spotkanie zakrawa na uśmiech losu. Była późna jesień 1944 roku. Do portu Hunters Point w San Francisco zawinął statek USS Belleau Wood. Oficer marynarki, Jack Kenney, skierował się do kurortu Sugar Bowl. W przerwie od działań wojennych na Pacyfiku postanowił nauczyć się jazdy na nartach. Jego instruktorką okazała się Peg Taylor, świeżo upieczona absolwentka Uniwersytetu Berkeley i zarazem najszybsza narciarka w Ameryce. Kobieta, której nie były straszne żadne upadki czy potłuczenia. Peg nie miała wtedy żadnych poważnych planów. Oddawała się białemu szaleństwu i starała się nie przejmować wojną. Natomiast Jack dokładnie wiedział, czego chce. Odkrył swoje powołanie. Postanowił, że po wojnie – jeśli przeżyje

– wróci do rodzinnej Nowej Anglii i otworzy klub narciarski. Nie miał zielonego pojęcia o takich przybytkach, ale to go wcale nie zrażało. (Może na statku obejrzał zbyt wiele filmów z Bingiem Crosby?).

Najpierw jednak musiał sam nauczyć się szusować. Spieszył się. Urlop był krótki. Wkrótce jego oddział trafi na inny lotniskowiec i podejmie dalszą walkę z flotą cesarza Japonii. Kilka tygodni wcześniej Belleau Wood wraz z inną jednostką, USS Franklin, patrolowały wody morza Visayan, małego akwenu w obrębie Filipin. Jak zwykle wypatrywano na niebie bettych i zeke'ów, jak nazywano japońskie samoloty. Oczywiście chodziło o to, aby je zestrzelić. Świat pochłonęła wojna, a Jack był wojownikiem. Ci, którzy go znali, wiedzieli, że tanio skóry nie sprzedą.

Rankiem trzydziestego października 1944 roku, u wybrzeży wyspy Cebu, zza chmur wyłoniły się nagle trzy japońskie bombowce. Ruszyły za Franklinem, którego działa przeciwlotnicze się odezwały. Pierwsza z maszyn została trafiona i spadła do morza ze strony sterburty. Zaraz jednak w słońcu ukazała się druga i z całym impetem runęła na pokład. Pięćdziesięciu sześciu ludzi zginęło, a sześćdziesięciu odniosło rany. Trzeci samolot zrzucił bombę na Franklina, został ugodzony pociskiem z Belleau Wood, po czym samobójczo zanurkował i uderzył w jego pokład lotniczy. Niczym kula ognista przetoczył się po ustawionych w szyku amerykańskich maszynach, detonując ich bomby i paliwo. Wreszcie stanął w płomieniach, które strzelały pod samo niebo, i pokład spowił gęsty dym. Samolot dogorywał tak aż do następnego ranka.

Jack stracił wtedy dziewięćdziesięciu dwóch towarzyszy. Spłonęli żywcem, utonęli albo jedno i drugie. Wielu nigdy nie odnaleziono. Ci, którym udało się przeżyć, niestrudzenie gasili pożary i ratowali statek przed zatonięciem. Ta mordercza walka z żywiołami, na terenie wroga, trwała bez przerwy dzień i noc. Nie było prądu, nie działała nawigacja, a na zdruzgotanym pokładzie walały się zwęglone zwłoki.

To musiało być wstrząsające, zwłaszcza dla kogoś tak wrażliwego. Jack nigdy nie umiał udawać czy ukrywać niezadowolenia. Z drugiej strony nie umiał też powściągnąć radości lub podziwu. Na pewno też niełatwo mu było zaakceptować kompletną nieprzewidywalność sytuacji na wojnie. Oto w spokojny, słoneczny dzień jego statek nagle stanął w ogniu i zaczął tonąć, tracąc jedną piątą załogi. Dziadek lubił wyzwania, ale to było coś niepojętego.

Kiedy kilka tygodni później okaleczony Belleau Wood przyплыł do San Francisco, Jack nie mógł się doczekać pierwszej lekcji nart. Nie licząc chwil depresji, chętnie mierzył się z każdym problemem. Tak też zareagował na tragedię lotniskowca. Od razu zaczął planować resztę życia.

Opowiedział mi tę historię zupełnie niespodziewanie, gdy rozparty w fotelu oglądał ze mną jakiś film wojenny. Cierpiał już wtedy na chorobę Alzheimera, ale mówił z takim przejęciem, że nie wątpiłem w żadne słowo. Potem okazało się, że to samo opowiadał innym osobom. Wszystko potwierdziły jego zapiski – dzienniki oraz notatki z harmonogramem lotów bojowych i nazwiskami współtowarzyszy. Wojna była dla tych mężczyzn niczym ostateczny sport zespołowy, a przy tym starcie dobra ze złem. Nie mieli wątpliwości, że stoją po stronie dobra. I że zwyciężą. Dzięki tej wewnętrznej sile i woli przetrwania dziadek mógł przystąpić do spełnienia swoich najsłynniejszych marzeń. Ważne decyzje podejmował szybko, czasem w kilka minut. Potem następowała żmudna faza planowania. Lubiał się radzić otoczenia, nawet jeśli nie wszyscy sobie tego życzyli. W każdym razie doszedł wtedy do wniosku, że nowe życie musi rozpocząć od lekcji jazdy na nartach.

Wkrótce znalazł się ze swoim oddziałem na USS Monterey, gdzie za przygotowanie fizyczne żołnierzy odpowiadał komandor podporucznik Gerry Ford, późniejszy prezydent. Walczono wtedy także o to, by zwykły instruktor WF-u mógł zostać prezydentem. Mój dziadek był porucznikiem wywiadu marynarki i opiekował się eskadrą bombowców. Objaśniał pilotom, gdzie mają lecieć,

co zbombardować, jak wrócić, ile zabrać paliwa (co zależało od siły wiatru i innych warunków pogodowych). Nie miał łatwego zadania, bo musiał mu wystarczyć suwak logarytmiczny. Można powiedzieć, że był specjalistą od wszelkich obliczeń, co jest o tyle dziwne, że nigdy nie miał zacięcia do matematyki.

Szkółę średnią skończył w 1933 roku, a więc w czasach wielkiego kryzysu. Jak wszyscy (z wyjątkiem obrzydliwie bogatych) drżał o swoją przyszłość. Nie wiedział, co ze sobą począć. Był bystrym, dociekliwym młodzieńcem. Miał talent literacki. Świetnie grał w tenisa i golfa. Był dobry we wszystkim, czego się dotknął. Jednak w domu piszczala bieda, a studia słono kosztowały. Wtedy, jak twierdził, poprowadziła go czyjaś niewidzialna ręka, którą miał jeszcze nieraz poczuć w przyszłości. Nie był człowiekiem wierzącym, ale uduchowionym. Jestem pewien, że miał bliski kontakt z Bogiem. Otóż pewna przyjaciółka rodziców postanowiła mu opłacić studia. Pani ta przez całe życie była przykuta do wózka inwalidzkiego. Lubiała dziadka Jacka za poczucie humoru i tężyznę fizyczną, szczególnie za smykałkę do tenisa. Poczuł się, jakby wygrał los na loterii. Jednak pozostawała jeszcze jedna przeszkoda. Na studia nie zdawało się wtedy egzaminów. Na większości uczelni obowiązywał konkurs świadectw, a dziadek miał fatalną ocenę z matematyki. Natura obdarzyła go jednak darem przekonywania. Nauczyciel zgodził się podnieść mu notę, pod warunkiem że na studiach Jack będzie omijał matematykę szerokim łukiem, żeby nie przynieść mu wstydu. Dziadek chętnie się zgodził, bo przecież nie lubił tego przedmiotu. Ach, gdybym umiał tak rozmawiać z nauczycielami jak on.

Przypuszczam, że ich rozmowa mogła wyglądać tak:

- | | |
|-------------|--|
| JACK: | Panie profesorze, mam pewien problem z matematyką. |
| NAUCZYCIEL: | Przychodzisz za późno. Oceny są już wystawione. |
| JACK: | Właściwie chodzi o statystykę... |

- NAUCZYCIEL: Statystykę! Nie masz o niej zielonego pojęcia.
- JACK: Problem jest taki: jeżeli zmarnuję okazję pójścia na studia i skończę jako uliczny sprzedawca jabłek, to jakie jest prawdopodobieństwo, że odtąd będę codziennie do pana dzwonił, żeby przypomnieć, że zawdzięczam to panu?

Tym sposobem Jack Kenney, zupełna noga z matematyki, podjął studia ekonomiczne w Dartmouth College w Hanover, w stanie New Hampshire. Cztery lata później skończył je z drugim wynikiem spośród osiemdziesięciu studentów swojego roku. Jak to świadczy o ekonomistach?

Gdy odebrał dyplom, dumni rodzice zabrali go na skromną kolację w pobliskiej restauracji. To w zasadzie wszystko, co o nich wiemy. Nie minął rok, a oboje odeszli. Ojciec zmarł na raka, a matka popełniła samobójstwo. Historia niczym z greckiej tragedii: gdy umarł król, królowa ze smutku podzieliła jego los. Jack ciężko to przeżył. Chyba po raz pierwszy popadł w depresję. Nic dziwnego, że potem unikał rozmów o rodzicach.

Jednak znowu uśmiechnęło się do niego szczęście. Przyjaciół Kenneyów z rodzinnego Reading w stanie Massachussets, doktor Swede Oberlander, właśnie otrzymał posadę na uniwersytecie stanowym w New Hampshire. Dziadek do niego dołączył. Potrzebował kogoś bliskiego. Nie miał też nic lepszego do roboty. W New Hampshire spędził dwa lata, uzyskując uprawnienia pedagogiczne. Następnie przeniósł się na północ i przez kolejne dwa lata uczył historii w Berlin High School. Berlin był wtedy szczęśliwym robotniczym miasteczkiem. Chyba nadal jego mieszkańcy są pogodni, choć może nieco mniej, odkąd zamknięto tamtejsze fabryki. Ponadto Jack uczył dzieci tenisa i marzył o karierze literackiej.

Przez całe dorosłe życie – nie licząc ostatnich dziesięciu lat, kiedy był już chory – prowadził obszerne dzienniki. Pisał co wieczór w wannie. Najczęściej o życiu i o wszechświecie, ale obmyślał i szkicował również przeróżne wynalazki. Od wyciągów narciarskich,

przez sztuczne jeziora, po roboty mające pomagać niepełnosprawnym tenisistom. Jack miał płodny umysł.

Po ataku na Pearl Harbor zaciągnął się do wojska. Skierowano go do wywiadu, gdzie ten matematyczny „geniusz” obliczał szczególności misji bombowych. Jak to świadczy o wojnie?

Po owej lekcji jazdy na nartach w Sugar Bowl Jack poprosił Peg o adres. Przez resztę wojny często do niej pisał. Zaintrygował ją, a może nawet zauroczył swoim niespożytym entuzjazmem. Poza tym nie był przecież tylko przyszłym właścicielem klubu narciarskiego. Jako oficer marynarki walczył na Pacyfiku o demokratyczny świat. Jego zaloty musiały jej pochlebiać. Jack pociągał ją tym bardziej, że sama pochodziła z wojskowej rodziny.

Po kapitulacji Japonii statek dziadka zawinął do Tokio pierwszy, a jego kapitan został pierwszym Amerykaninem, który postawił nogę na japońskiej ziemi. Był to wielki dzień dla wszystkich, może z wyjątkiem gospodarzy. Jack powtarzał, że wojna to najboleśniej-szy i najpoważniejszy, ale także najbardziej fascynujący epizod w jego życiu. Codziennie walczyło się o przetrwanie. Każdy kolejny przeżyty dzień przybliżał go do realizacji marzeń. O klubie narciarskim... i o Peg.

Peg i Jack bardzo się różnili. Ona była w miarę spokojna i opanowana. Bardziej poukładana. No i twarda. Nawet bardzo. Gdy napotkała jakąś trudność, starała się ją przezwyciężyć. Jednak czasem tłumiła w sobie złe emocje. Należała do ludzi, o których mówi się, że „cicha woda brzegi rwie”. W trudnych chwilach, gdy zabrakło śniegu, klub świecił pustkami i trudno było wykarmić rodzinę, bywała nieprzyjemna.

Dziadkowie stanowili zabawną, ale świetnie dobraną parę. Różnili się wyjątkowo, ale właśnie dlatego przyciągali się i uzupełniali. Jack był wesoły i koleżeński, dla każdego miał dobre słowo, a na dodatek nosił niemodne kapelusze. Peg była bardziej staroświecka. Tak skryta, że czasem chyba sama nie wiedziała, co myśli. Oszczędzała energię na ważne sprawy, których miała wiele.

W latach czterdziestych uprawiała narciarstwo. Kilka razy zdobyła mistrzostwo kraju. W 1948 roku zabrakło jej dwóch miejsc, żeby pojechać na igrzyska do Londynu. Odznaczała się brawurą, jakiej nie spotykano wówczas u młodych kobiet. Jeździła samochodem jak szatan. Popijała whiskey z butelki. Uwielbiała hazard i ostrą rywalizację. Nic dziwnego, że Jack tak mocno ją kochał.

Gdy mama i reszta rodzeństwa byli dziećmi, często towarzyszyli rodzicom w dalekich samochodowych eskapadach. To Peg szukała dogodnych miejsc do suszowania. Pewnego razu, na paskudnej przełęczy w Górach Skalistych, Jack nagle źle się poczuł. Zaczął ciężko oddychać. Zjechał swoim vista cruiserem na pobocze, zatrzymał się i znieruchomiał za kierownicą. Miał dość jazdy wąską, niebezpieczną serpentyną. Wówczas Peg odsunęła go i zajęła miejsce za kółkiem. Ku radości pasażerów z tylnych siedzeń pokonała resztę trasy niczym rajdowcy z filmu *Diukowie Hazzardu*. Dzieci przeżyły coś, czego ich dzisiejsi rówieśnicy szukają w grach wideo. To była cała Peg – musiała wszystkiego spróbować. Kochała wyzwania. Jack może nie był aż tak zuchwały, lecz wcale nie stronił od pracy i przygód. Można powiedzieć, że to właśnie on stanowił dla niej największe wyzwanie. Sprostala mu.

Znając Peg, właściwie trudno uwierzyć, że w 1946 roku opuściła Kalifornię i pojechała z nim na wschód, do Easton Valley w New Hampshire. Jack chciał kupić ziemię w Conway, ale okazała się zbyt droga. Polecono mu miejscowość Franconia, położoną kilka kilometrów dalej na wschód, na północnym krańcu przełęczy o tej samej nazwie, na bardziej kamienistych zboczach Presidential Range. Tam rzeczywiście było taniej. Za dziesięć tysięcy dolarów, do spółki z kumplem z marynarki, Bobem Allardem, kupił sto osiemdziesiąt hektarów ziemi z domem i stodołą. W przyszłości miało tu stanąć schronisko. Na razie dziadek złożył atrakcyjną propozycję Peg oraz jej przyjaciółce Mimi. Miały być kucharkami i pokojówkami. Dlaczego się zgodziły? Po wojnie brakowało kandydatów na mężów, a wszyscy, którym udało się przeżyć, pewnie



Jo, Billy, Davy, Bub i Mike, 1960 rok

chcieli się żenić i mieć dzieci. Może dlatego. W każdym razie obie dziewczyny zjawily się we Franconii.

Schronisko, położone u podnóża Mount Kinsman, otrzymało nazwę Tamarack. Pierwsza mroźna zima była ciężka. W tych stornach czasem przez miesiąc temperatura sięga dwudziestu stopni poniżej zera. To za zimno, żeby spadł śnieg, a nawet gdyby spadł, to na smagany wiatrem stoku jest minus czterdzieści, co wyklucza jazdę na nartach. Gdy ów pierwszy sezon wreszcie się skończył, było jasne, że schronisko nieprędko da utrzymanie dwóm rodzinom. Wówczas Jack wykupił udziały Boba. Przedtem jednak cała czwórka połączyła się w pary i zaręczyła. Zima tak działa na ludzi. Wskoczyli więc do swojego kombi i pojechali do Kalifornii, gdzie się pobrali. Wtedy jeździło się słynną drogą 66, przez Wielkie Równiny, góry i pustynie. Wóz miał hamulce mechaniczne i brakowało mu ogrzewania i klimatyzacji. Ale dla nich ta trasa nie stanowiła problemu. Przecież przetrwali wielki kryzys, wygrali wojnę, a teraz otworzyli własny interes. Czuli, że mogą wszystko.

Koniec fragmentu.

Zapraszamy do księgarń
i na www.labotiga.pl



WYDAWNICTWO
SINE QUA NON

